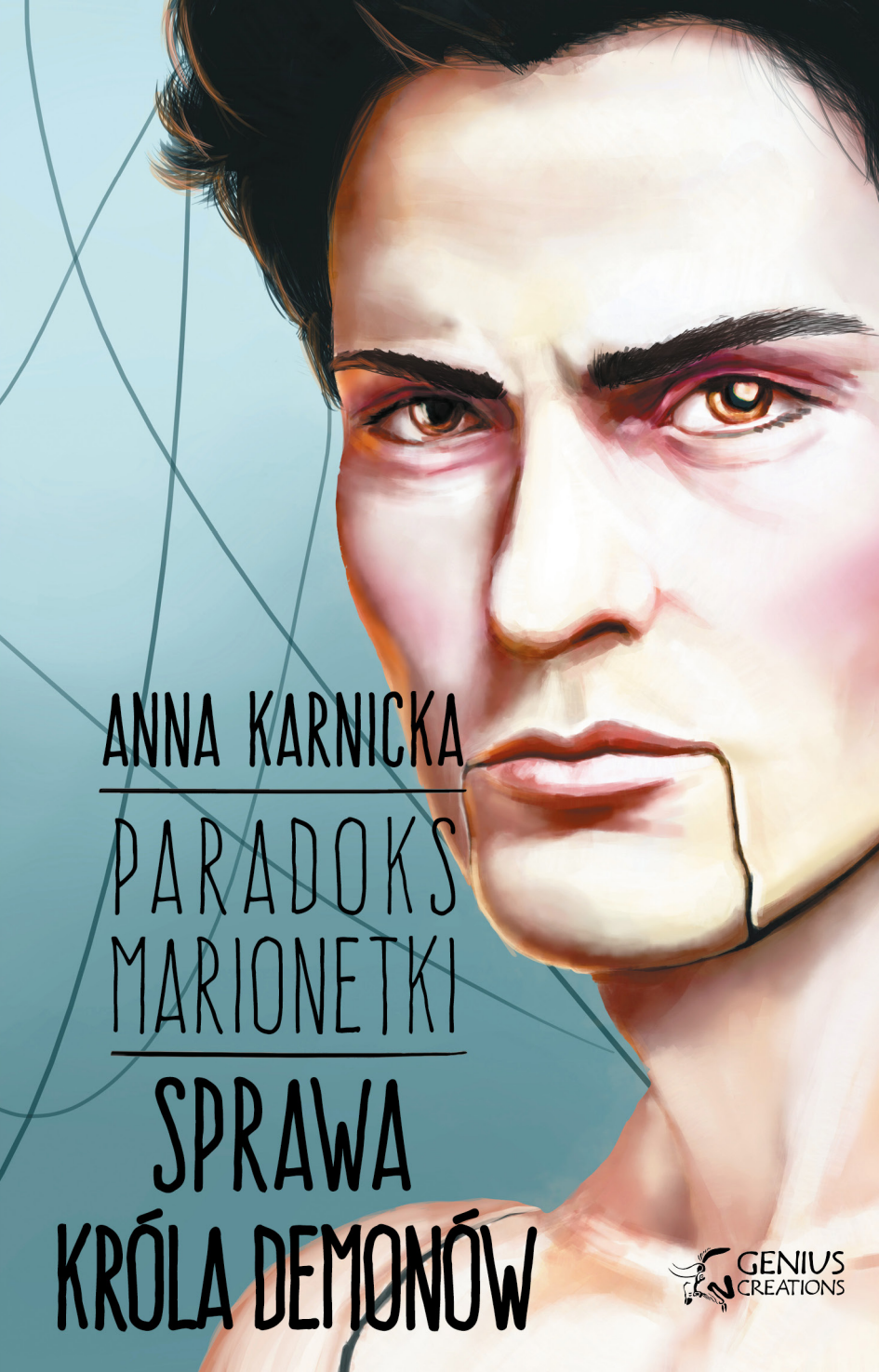




ANNA KARNICKA

PARADOKS
MARIONETKI

SPRAWA
KRÓLA DEMONÓW

Paradoks marionetki: Sprawa Króla Demonów
Copyright © Anna Karnicka
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover art by Michał Bończyk
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.
Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2020 r.

książka ISBN 978-83-7995-408-7
ebook ISBN 978-83-7995-409-4

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski
Redakcja: Anna i Bartosz Czarneccy
Korekta: Barbara Mikulska
Projekt i adiestacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski
Ilustracja na okładce: Michał Bończyk
Skład i typografia: www.proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85-453 Bydgoszcz
sekretariat@geniuscreations.pl
www.geniuscreations.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach
www.MadBooks.pl
www.eBook.MadBooks.pl

SPIS TREŚCI

Bal Kolegium	4
Siostrzyczki	16
Szturm	37
Świadomość cienia	58
Labirynt luster	78
Zgliszcza	93
Przebudzenie Króla Demonów	109
Wspomnienia i plany	124
Uśpiona dusza	153
Świeczka oświećli do łóżka ci drogę	170
Puzzle	197
Lemoniada z jałowca	213
Bitwa o Pragę	227
Lalkarz i artystka	241
Paradoks marionetki	258

BAL KOLEGIUM

– Do zobaczenia wkrótce, mości książę!

Drzwi celi zamknęły się z cichym zgrzytem. Zawtórował mu dźwięk przekręcanego zamka. Walter przez długą chwilę leżał na zimnej posadzce, starając się odzyskać oddech. Cios w splot słoneczny, jaki wymierzono mu jeszcze na korytarzu, nie należał do najłżejszych, zdołał jednak doczołgać się na niskie, prowizoryczne posłanie. Na razie nie czuł się na siłach, by stanąć na nogach. Wytatuowana ręka wyciągnęła się do niego, pomagając mu ułożyć się wygodniej. Oplotły go ciepłe ramiona i złociste włosy Nel.

– Co on miał na myśli? – spytała dziewczyna, wzdając ustami po jego policzku i nosie. Nawet mimo tygodni pobytu w podziemiach Kolegium,niosła ze sobą zapach wzgórz, wrzosowisk i wolności. – Dlaczego „do zobaczenia wkrótce”?

– Co tu robisz? – odpowiedział pytaniem. – Mówiłem, żebyś nie przychodziła. To niebezpieczne.

– Mój znajomy klawisz nie miał nic przeciwko – wyszeptała mu do ucha.

Walter westchnął tylko i pokiwał ze zmęczeniem głową.

wą. Przydługie, poskręcane pasemka włosów opadły mu na twarz. Już jakiś czas temu Nel za pomocą śpiewu zdołała owinąć sobie jednego z dozorców wokół palca. Pozwalał jej przemykać do sąsiadującej celi, aby doglądać go i czasem nawet spędzać u niego noce. Walter nie był tym szczególnie zachwycony – strażnika w każdej chwili mógł zastąpić inny, lepiej wyszkolony w zakresie manipulacji, a fakt, że więźniarka wykorzystywała swój talent w stosunku do niewykwalifikowanego pracownika Kolegium mógłby tylko pogorszyć ich i tak nienajlepszą sytuację. Nie mieli tych samych praw, co adepci manipulacji: umiejętność naginania przepisów nie była dowodem sprytu i nie działała na ich korzyść. Była po prostu kolejnym argumentem by trzymać ich pod kluczem.

– Dlaczego stwierdził, że zobaczycie się później? Odpowiedz!

– Dzisiaj jest Bal Kolegium – odparł Walter, mocno obejmując ją ramieniem. – Przyjeżdżają goście z innych placówek. Właśnie dowiedziałem się, że Erika Ekhart zażyczyła sobie, żebym uświetnił ceremonię małym fortepianowym recitalem. – Uśmiechnął się z goryczą.

Palcami wygrywał na jej odsłoniętych plecach kolejne takty.

– Etiuda Rewolucyjna? – spytała, podnosząc wzrok. Szarozielone oczy były czujne, pełne wyczekiwania. Zadrżała, gdy potwierdził to uroczystym skinieniem głowy.

– Zamierzasz ją zagrać?

– Tak.

Przez chwilę patrzyli się na siebie w milczeniu. Oboje wiedzieli, że Iskra ma swoje własne plany co do dorocz-

nego Balu Kolegium. Zamierzała dostać się do sali balowej, wmieszać w tłum gości, rozpętać zamieszki i uwolnić przetrzymywanych w podziemiach jeńców, dając Martinowi okazję do ostatecznej konfrontacji z Eriką Ekhart – dyrektorką Praskiej Szkoły Lalkarzy. Oczywiście, wszystkie te działania zmierzały do nieuniknionej rewolucji. Wybrany przez Waltera utwór oznaczał, że popiera akcję i daje sygnał do jej rozpoczęcia.

– Więc to już dziś? – wyszeptała Nel. – Zupełnie straciłam poczucie czasu.

– Dziś – potwierdził. – Za kilka godzin.

Odpowiedziała mu pocałunkiem. Walt na moment wyrzucił z głowy myśl o koncercie. Zainteresowały go drobne blizny, którymi pokryte były ramiona Nel. Oznaczały się pod misternymi tatuażami, spletały w linie, prowadziły aż do serca. Była wojowniczką. Księżniczką irlandzkich demonów zemsty, walkę miała we krwi. Pamiętał, jak popędzała konia w drodze do ogarniętego wojną Żelaznego Dworu, jak przemierzała bitewne pobojuwisko, szukając śladów Canelle, jak do ostatniej chwili próbowała uciec przedstawicielom Kolegium. Fakt, że teraz była tak spokojna, nie wróżył nic dobrego.

Leżeli w ciemności, wpatrzeni w drzwi do celi. Walt obejmował Nel i przesuwiał palcami po jej ramionach i karku. Nie wiedzieli, kiedy po niego przyjdą i zabiorą na górę, do Lustrzanej Sali, przeczuwali jednak, że ten moment jest coraz bliższy. Palce księcia znów wybijały na skórze Nel dobrze znany rytm, odtwarzały każde uderzenie w klawisze. Adeptka milczała. Znała go na tyle dobrze, by wiedzieć, że w takich momentach nic

do niego nie dociera. Spoglądała na niego z czułością.

– Nie rób nic głupiego, bez względu na to, co się stanie.

– Jestem demonem zemsty – odparła. – Zrobię to, co będzie konieczne Odpoczywaj. Później może nie być kiedy.

Musiał przyznać jej rację. Odpoczywali więc, cieszyli się swoim ciepłem i dotykiem.

Przyszli po niego, gdy Nel zasnęła. Rzucił księżniczce ostatnie spojrzenie i posłusznie podszedł do drzwi celi. Nie chciał dać nikomu satysfakcji, że został zmuszony do posłuszeństwa siłą. Nie zamierzał im w ogóle dawać jakiegokolwiek satysfakcji.

Wyprowadzili go z lochów i wskazali drzwi pokoju, w którym zazwyczaj odbywały się lekcje gry na fortepianie. Ale to było na początku roku, nieskończenie dawno temu, zanim dowiedział się o wojnie w Żelaznym Dworze i zanim został wbrew wszelkim znanym mu zasadom pojmany przez Kolegium i przesłuchiwany. W środku czekało już przygotowane dla niego czyste ubranie: biała koszula, spodnie i frak. Jedna z manipulaterek usiadła naprzeciw niego i bardzo szybko zaczęła dotykać opuszkami jego twarzy. Nakładała iluzję mającą ukryć przed członkami Kolegium wszystkie zadrapania i siniaki. Wiedział, na czym polega ta technika, chociaż w Praskiej Szkole Lalkarzy nauczano jej dopiero pod koniec drugiego roku. Sporo słyszał o niej od Aislinga i Iskry. Doskonale nadawała się do tego, by zakryć blizny po poparzeniach na twarzy dziewczyny, ta jednak nigdy z niej nie korzystała. Nosila je z dumą, ni-

czym odznaczenie wojenne. Jemu było wszystko jedno. Poddał się procedurze spokojnie i bez protestów, mimo że jak dla niego nie miała zbyt wiele sensu. Cały personel Praskiej Szkoły Lalkarzy wiedział, gdzie on i Nel się znaleźli co się z nimi dzieje, zaś gości z innych placówek prawdopodobnie niewiele to obchodziło. Przyjechali tu na bal z okazji Nocy Walpurgii i nie interesował ich student, który ma dać inauguracyjny koncert.

Po doprowadzeniu Waltera do stanu nadającego się do zaprezentowania większej grupie osób, strażnicy odeskortowali go do Sali Lustrzanej. Wkroczył na przygotowany dla niego podest z czarnym fortepianem. Ukłonił się w pas publiczności, oszołomiony nieco burzą oklasków. Najwyraźniej plotki o aresztowaniu księcia Żelaznego Dworu dotarły dalej, niż przypuszczał i rozbudziły ciekawość gości. To wyjaśniało wcześniejsze przygotowania. Z roztargnieniem rozejrzał się po zebranych. Pracownicy Praskiej Szkoły Lalkarzy siedzieli w drewnianych fotelach, w towarzystwie gości Kolegium przybywających spoza Pragi. Brakowało Mortimera oraz – o dziwo – Eriki Ekhart. Najwyraźniej dyrektorka nie zamierzała zaszczyścić uczestników balu swą obecnością.

W cieniu kolumny dostrzegł wysoką, chudą postać Greema. Martin stał w drugim kącie sali, a czerwonołosa Freddie kręciła się przy głównych drzwiach. A więc byli tutaj, obserwowali go. Czekali na jego znak.

Odwrócił się, by zerknąć na fortepian. Aż do tej chwili nie był przekonany, czy chce brać w tym udział i czy pomysły Iskry i Martina cokolwiek go obchodzą. Białe i czarne klawisze przyciągały jednak wzrok. Palce mro-

wiły z niecierpliwości. Ostatnimi czasy był adeptem manipulacji, mordercą, dowódcą armii, zbiegiem i więźniem. Teraz znów z całego serca chciał być po prostu pianistą.

Zasiadł do instrfumentu. Palce bez trudu odnalazłyby drogę do muzyki, która już rozbrzmiewała w jego głowie. Wiedział, co musi zagrać, by rozpętać tutaj piekło. Doskonale znał partyturę, miał świadomość, że jednym naciśnięciem klawisza jest w stanie zmusić buntowników do ataku na Kolegium, że każda nuta może sprawić, że tutaj, na tej sali ludzie zaczną podryzać sobie gardła i wbijać ostrza w plecy. Na razie nie chciał jednak tego robić. Na razie miał ochotę się bawić, delektować się każdą chwilą tego, że gra przed ogromnym audytorium i wszyscy muszą go słuchać, czy mają na to ochotę, czy nie.

Grał więc. Bawił się. Szczególnie dużo zabawy miał przy Marszu Mefisto Liszta, który był jednym wielkim „pieprzcie się” zadedykowanym całemu Kolegium, z gronem spiskowców włącznie. Jego pierwsza rozmowa z Martinem dotyczyła tego, że powinien spełniać swoje marzenia. „Trzeba było rzeczywiście iść do konserwatorium” pomyślał z pewnym rozdrażnieniem. „A ty Martin? Jesteś teraz zadowolony? Realizujesz swoje marzenia?” On zdecydowanie je spełniał. Wreszcie pozwolono mu grać, wreszcie dopuszczono go do głosu i nic innego nie miało znaczenia. Teraz już zupełnie przykuł uwagę gości, o czym świadczyły oklaski po każdym kolejnym numerze. Przez jedną chwilę było pięknie. Dokładnie tak, jak powinno być, jak zawsze pragnął, żeby było.

Wreszcie jednak poczuł, że nie ma nic więcej do powiedzenia, że wszystko, co chciał, zdołał już przekazać i równie dobrze wszyscy mogą iść do diabła i zostawić go w spokoju. Z tą myślą rozpoczął Etiudę Rewolucyjną i uderzając w klawisze patrzył, jak przed jego oczami rozpętuje się piekło.

Martin wiedział, co się stanie. Sam przecież wyraził na to zgodę, choć nie brał udziału w planowaniu szczegółów. Mimo wszystko jednak zaskoczyła go łatwość, z jaką Greem podciął gardło jednemu z zaproszonych gości i z jaką Inga jednym chwytem powaliła innego. Spiskowców musiało być na sali znacznie więcej, bo bal momentalnie zamienił się w chaos przepełniony okrzykami zaskoczenia. Kątem oka dostrzegł wampirzycę Sofię odgryzającą komuś głowę i Anneke triumfalnie wymachującą czyjąś ręką. Nie miał pojęcia, że Turystki tu będą. Nie rozumiał, jakim cudem nikt się nie zorientował, przecież manipulatorzy polowali na takich jak one. Nie miał czasu zwracać uwagi na to, co się dzieje. Czeakało go inne zadanie.

Zdołał jakoś przepchnąć się do strzeżonych przez Freddie drzwi. Cień, jaki dziewczyna rzucała na ścianę, był ogromny, zębaty i rogaty. Jej osobisty Chochlik nie próżnował. Martin wiedział, że pożera szczęście gości, którzy – mimo swojej wiedzy i przeszkolenia – padali ofiarą młodych i niedoświadczonych buntowników. Skinął Freddie głową. Dziewczyna odwzajemniła gest i uchyliła drzwi na tyle, by zdołał się wymknąć. Następ-

nie zamknęła je na zasuwę, pozostając wśród pracowników Kolegium i rozwścieczonych, żądnych krwi buntowników. Szedł po opustoszałym korytarzu pewnie, krok za krokiem.

Cieszył się, że Erika nie wzięła udziału w uroczystości. Wolał to załatwić bez świadków. Wiedział, że dyrektorka może znać odpowiedzi na wiele pytań i chciał je usłyszeć, wbrew temu, co sądziła na ten temat Iskra. Teraz miał okazję osaczyć ją w jej własnym gabinecie.

Erika musiała być u siebie, zaskoczyło go jednak, że drzwi otworzyły się same, gdy tylko do nich podszedł. Wślizgnął się do środka, rozglądając z ciekawością. Pomieszczenie wydawało się pedantyczne do bólu. Grzbietów książek nie pokrywała ani odrobina kurzu, papiery na biurku ułożono w idealną stertę. Za biurkiem znajdowały się kolejne drzwi, które również uchyliły się, nim zdążył położyć dłoń na klamce. Zrobił krok do tyłu, po chwili wahania przekroczył jednak próg. Dostrzegł stojącą na tle okna postać.

– Widzę, że wreszcie zdecydowałaś się mnie odwiedzić, Martinie – powiedziała Erika Ekhart, odwracając się w jego stronę.

Nigdy wcześniej nie miał okazji przyjrzeć się jej z tak bliska, nigdy wcześniej też naprawdę nie słyszał jej głosu. Zazwyczaj w jej imieniu przemawiał Mistrz Johan. Teraz jednak wyraźnie widział idealnie gładką twarz, wielkie, ciemne oczy i usta, które nie poruszały się przy wydawaniu dźwięków. Tak jak mówiła Canelle, Erika Ekhart była lalką. Świetnie wykonaną i ładną, przypominającą żywego człowieka, ale jednak lalką. Instynk-

townie cofnął się o krok, wstrząśnięty tym odkryciem. Co innego o tym słyszeć, co innego widzieć na własne oczy.

– Musimy porozmawiać – powiedział. – Nie próbuj uciekać i tak nie masz dokąd.

– Jak mniemam, twoi szkolni przyjaciele właśnie obracają moją uczelnię w gruzy? – spytała obcym, sztucznym głosem. Jej twarz nie drgnęła. – Doskonale. Wszystko idzie zgodnie z planem.

Martin przyjrzał się jej nieufnie.

– Co? Z Jakim planem? O czym ty mówisz?

– Wiedziałam, że moja polityka wobec uczniów przędzej czy później doprowadzi do aktywnego oporu i do buntu. Nie miałam co prawda pewności, kiedy, ale tak sobie właśnie pomyślałam, że Noc Walpurgii to idealny moment. Cała Rada i zagraniczni przedstawiciele Kolegium w jednym miejscu, w przestrzeni, którą łatwo zamknąć... Domyślałam się, że nie możecie przepuścić takiej okazji, dlatego podsunęłam wam księcia Waltera. Widzę, że dobrze wykorzystaliście wszystkie dane wam narzędzia.

– CO? – powtórzył Martin, spoglądając na nią ze zdumieniem. Czekał na tę konfrontację prawie cały rok akademicki, zgodził się na udział w spisku, by tylko zobaczyć przypartą do muru, bezradną i przerażoną Erikę, a wszystko sprowadzało się do tego, że odegrał tylko rolę w jej planie. – To znaczy, że to wszystko... te egzaminy i...

– To było w pełni świadome działanie, Martinie – przyznała, jakby to było coś oczywistego. – Podyktowane

tylko i wyłącznie waszym dobrem i koniecznością przygotowania was na....

– Ale tak nie wolno robić! – wpadł jej w słowo Martin.
– Nie rozumiecie tego, ty i całe Kolegium?! Nie zmienia się reguł w trakcie gry! My się staramy, dajemy z siebie wszystko, oddajemy wam wszystko, co umiemy, wkładamy w to serce!

– Musiałam wam docisnąć śrubę – ciągnęła. Wybuch Martina nie zrobił na niej żadnego wrażenia. Obojętnie spoglądała przez okno na dziedziniec, na którym też toczyły się zażarte walki. Wszystkie główne bramy były zamknięte, nikt nie mógł wejść ani wyjść. – Inaczej nie zaczęlibyście działać razem. Nie zorganizowalibyście się tak sprawnie i nie bylibyście tak zdeterminowani, by się mnie pozbyć. Ty nie byłbyś tak zdeterminowany.

Martin zacisnął dłonie w pięści.

– Zabiłaś moją przyjaciółkę! – krzyknął, robiąc krok w jej stronę. – Zamordowałaś ją z zimną krwią, zrobiłaś z niej marionetkę! Myślałaś, że tak po prostu puszczyć to w niepamięć?!

– Ach tak. – Ze spokojem pokiwała głową. – Pamiętam. To z tego powodu postanowiłaś jednak przyjąć moje zaproszenie, prawda? Przrzekałaś, że mnie... jak to zgrabnie wtedy ująłeś „zniszczysz”. Zamierzasz zrobić to teraz, prawda?

Nie odpowiedział. Wciąż brzmiały mu w uszach słowa Canelle: „Nie możesz jej zabić. Król Demonów nie może wejść do Pragi, dopóki bije jej serce”. Nie byli gotowi na jego nadejście, nie mogli sobie na nie pozwolić.

– Przecież tego właśnie od ciebie oczekują, prawda? –

spytała Erika, przyglądając mu się z jawną kpiną. – Dlatego za tobą poszli. Obiecałeś im, że zabijesz potwora, że dokonasz zemsty za siebie i za nich wszystkich. No dalej, nie chcesz wykonać zadania, które wyznaczyłeś sobie, przychodząc na uczelnię? Nie chcesz zaliczyć roku?

– Twoja uczelnia właśnie przestaje istnieć – powiedział dobitnie. – Nie mam wobec niej ani wobec ciebie już żadnych zobowiązań i nie muszę dopełniać złożonych jej obietnic – wykorzystując małą odległość, jaką ich dzieliła, wyciągnął rękę i złapał Erikę Ekhart za nadgarstek. Był zimny w dotyku i miał barwę alabastru. – Pójdiesz ze mną.

– Gdzie zamierzasz mnie zabrać? – W ciemnych oczach pojawił się błysk ożywienia. – Sam mówiłeś, że nie mam dokąd uciec.

– Pójdiesz ze mną – powtórzył. – Do naszego obozowiska.

Pokiwała głową ze zrozumieniem. Ciemne, jedwabiste kosmyki zatańczyły wokół jej twarzy. Nawet w takim momencie Martin nie mógł nie doceniać kunsztu i precyzji, z jakimi wykonana została ta lalka. Nie zastanawiając się wiele, sięgnął po leżący na oparciu fotela szary płaszcz z kapturem. Kobieta w milczeniu nałożyła go na ramiona i zaciągnęła kaptur aż na czoło. Martin również ukrył twarz pod kapturem bluzy adepta.

Znał dalszy plan. Nagły, niespodziewany atak stanowił o ich przewadze, jednak utrzymać ją mogli tylko i wyłącznie poprzez równie szybki i efektywny odwrót. Wystarczyło, że zamknęli elity Kolegium z bandą zwierbowanych przez Iskrę rozwścieczonych demonów. Wie-

dział, że oswobodzeni więźniowie zostaną przewiezieni w bezpieczne miejsce ciężarówką podstawioną w odpowiednim momencie przez barmana Marka. Martin, jako domniemany skrytobójca, musiał zniknąć bez śladu. Po drugiej stronie Mostu Karola znajdowało się utworzone dawno temu przejście, używane obecnie przez Ludzi-Sowy za każdym razem, gdy eskortowali Iskrę na narady spiskowców. Miał skorzystać z tego przejścia, by dotrzeć do lasu a stamtąd dalej do Siedliska Ludzi-Sów. Skoro jednak ostatecznie nie zabił Eriki, a tylko wziął ją jako jeńca, musiał pokonać tę drogę razem z nią.

– Zanim pozwolisz mnie zlinczować twoim przyjaciółom, chcę, żebyś o czymś się dowiedział.

Zamarł w bezruchu.

– Nie zabiłam twojej przyjaciółki, Martinie – obwieściła. – Robiłam, co w mojej mocy, ale nie zdołałam jej całkiem unicestwić. Prędzej czy później znów się spotkacie.

SIOSTRZYCKI

– To tutaj – powiedział Martin, zatrzymując się przed prostokątną bramą stworzoną z powiązanych ze sobą drzew. Wokół była pustka, żadnego znaku ludzkiej egzystencji. Samotny portal wyglądał w tym otoczeniu dość niepokojąco. – Musimy przez to przejść, by dostać się do obozowiska.

Erika Ekhart skinęła głową. Przez całą drogę nie wypowiedziała ani słowa, bez protestów przyjmując wszystkie wskazówki i polecenia Martina. Nie zamierzała walczyć i to mu się nie podobało. Nie mógł przestać zastanawiać się, co ona właściwie knuje. Drgnął, czując na sobie czyjeś spojrzenie. Z gęstwiny spoglądały na niego blade, kocie oczy, odbijające światło księżyca. Chwilę później coś wypadło z krzaków, wskoczyło na drzewo, po czym z gracją wylądowało między przybyszami a prowizorycznym przejściem. Martin cofnął się, widząc przed sobą imponujących rozmiarów kota.

– A, to ty – powiedział drapieżnik, ze znudzeniem pocierając łapą frędzlowate ucho. Jasne, upstrzone cętkami futro odcinało się na tle ciemności.

– Widmokot?! – upewnił się Martin, posuwając się

krok do przodu. – Ale mnie wystraszyłeś. A więc teraz jesteś rysiem?

– Nie co dzień się trafia taka okazja – przyznał Widmokot, z lubością wyginając grzbiet. – Nie mogłem sobie darować. Widzę, że przyprowadziłeś gościa – syknął, wpatrując się w otuloną peleryną postać. Towarzyszka Martina zsunęła kaptur z głowy, ukazując sięgające policzków ciemne włosy i jasną, nieskazitelnie gładką twarz. Teraz malował się na niej nieco ironiczny uśmieszek.

– Witaj, Widmokocie – powiedziała Erika, mierząc go uważnym spojrzeniem. – Kopę lat.

Ryś zeskoczył z kamienia i zbliżył się na bardzo sztywnych łapach. Położył uszy po sobie, nieufny i najeżony jak szczotka.

– Widziałem, jak umierasz. Pięć lat temu – wysyczał.
– Powinnaś być martwa.

– Masz szansę to teraz naprawić – odparła.

Zatrzymał się i przeciągnął, wyciągając łapy przed siebie.

– To interesująca propozycja – przyznał. – Pewnie wolałabyś, żebym zrobił to ja niż któryś z twoich pupilków. Niestety, nie mogę. Stina by mi tego nie wybaczyła.

Twarcz dyrektorki nawet nie drgnęła, w ciemnych oczach pojawił się jednak wyraz zaskoczenia.

– Stina? – powtórzyła. – Jest tutaj?

– Owszem, jest – odparł Widmokot, okrążając ją powoli. Martin na wszelki wypadek odsunął się nieco na bok. – Całe to zamieszanie miało na celu uwolnienie jej i kilku innych nieszczęśników z waszych lochów. Ale nie spodziewa się ciebie. Zasadniczo chyba nikt się cie-

bie nie spodziewa – dodał chłodno. Z rozdrażnieniem prychnął na Martina. – Miałeś jedno zadanie.

– Nasz drogi Martin zdecydował, że będzie lepiej, jeśli osądzi mnie historia, a nie on sam – wtrąciła Erika. – Typowa próba rozmycia odpowiedzialności. Jakby samo przyprowadzenie mnie tutaj nie oznaczało przyłożenia ręki do mojej śmierci.

Martin zacisnął zęby,

– Nie zginiesz – zapewnił. – Spotka cię kara, ale nie zostaniesz zabita.

– Jaką masz gwarancję? – spytała, nawet nie zaszczycając go spojrzeniem. – Wydaje ci się, że utrzymasz tych swoich buntowników w ryzach? Sądzisz, że będą ci posłuszni? Teraz, kiedy zawiodłeś ich oczekiwania, nie masz nad nimi żadnej kontroli, nie szafuj więc obietnicami bezpieczeństwa i nietykalności.

Zanim zdążył wymyślić jakąś ripostę, Erika zwróciła się do Widmokota.

– Dlaczego twierdzisz, że Stina by ci nie wybaczyła?

Ryś przez chwilę okrążał ją, najwyraźniej zastanawiając się nad właściwą odpowiedzią.

– Wielokrotnie mówiła mi, że chciałaby kiedyś z tobą porozmawiać – przyznał z ociąganiem. – Zastanawia się, jak się masz, dlaczego robisz to, co robisz... Wierzy, że byłby w stanie przemówić ci do rozsądku, jako twoja młodsza siostra. Szkoda tylko, że twój ukochany Roderick grzebał jej w pamięci...

Erika pokiwała głową.

– Chodźmy, zatem – powiedziała z nową, zupełnie zaskakującą dla Martina energią. Wydawała się niemal

zadowolona z obrotu spraw. – Nie ma co dłużej tracić czasu.

Widmokot ruchem głowy wskazał przejście. Najpierw przekroczył je Martin, następnie Erika. Ryś, jako strażnik drzwi, zamknął pochód.

Martin nigdy wcześniej nie był w Siedlisku, leśnej osadzie Ludzi-Sów. Słyszał o nich dość często, wiedział, że dali schronienie Iskrze i mają związek z tą sprawą, w przeddzień ataku na uczelnię poznał też jednego z nich, jak dotąd nie dostąpił jednak zaszczytu odwiedzenia ich siedziby. Rozglądał się po lesie, próbując ocenić, czy po przekroczeniu przejścia coś się zmieniło. Może było nieco ciemniej – korony starych drzew niemal całkowicie przysłaniały niebo. Może było trochę głośniejsze – po lesie niesły się odgłosy bębnow. Może bardziej wyczuwało się obecność Drugiej Strony. Martin śmiało ruszył w kierunku widocznych w oddali ognisk. Suche listowie szeleściło pod stopami.

– Co, przypominają się stare dobre czasy? – wymruzczał Widmokot, wciąż krążąc wokół Eriki. – Bębny, ognie i pogaduszki z Sowami przy ognisku?

Martin odwrócił się do nich.

– Byłaś tu już kiedyś? – spytał. – U Ludzi-Sów?

Erika Ekhart posłała mu znudzone spojrzenie.

– Ja nie – odparła. – Ale prawdziwa Erika Ekhart uczyła się tu, jak być posłuszną marionetką.

– Stina również tu bywała – dopowiedział Widmokot. – Na polecenie Mortimera. To były ciekawe czasy; ja, Stina, Erika, Merry i Piórko jedzący z jednej miski... – Widać było, że mówi to tylko po to, by droczyć

się z Eriką.

Kobieta nie wyglądała na szczególnie poruszoną. Martin chciał spytać Widmokota, czy wie coś o stanie Mortimera, nie miał odwagi jednak zrobić tego w obecności dyrektorki. Przyspieszył kroku.

Ludzie–Sowy oświecili drogę do Siedliska zawieszonymi na gałęziach lampionami. Najwyraźniej nie martwili się zbytnio tym, że drzewa mogą się zająć od płomieni. Martin zrozumiał ich bez troskę dopiero, gdy przechodząc, zbliżył palce do jednej z prowizorycznych lampek. Nie poczuł nic oprócz chłodnego, letniego powietrza. Były one niczym innym jak doskonale kontrolowaną iluzją. Z każdym krokiem odgłosy bębnów zyskiwały na sile, monotonne i hipnotyzujące. Samo siedlisko składało się głównie z szałasów. Pośrodku obozu płonęło jedno, największe ognisko, w ciemności przy szałasach można było jednak dostrzec kilka innych. Wyglądało na to, że Ludzie–Sowy uwielbiają ogień. Może dlatego Iskra tak dobrze się z nimi dogadywała.

Przemierzał obozowisko, szukając wzrokiem znajomych twarzy. Ku swojemu zdumieniu przy jednym z ognisk dostrzegł mistrza Taro, Amy Dot oraz Barquera. Najwyraźniej jednak nie tylko on postanowił tej nocy brać jeńców zamiast zabijać. Na swój sposób podniosło go to na duchu. Nie chciał podchodzić i zwracać na siebie uwagi Ludzi–Sów i buntowników. Nie, dopóki Erika szła krok w krok za nim, kryjąc twarz w cieniu szarego kaptura. Również się rozglądała, próbując rozpoznać siedzących ludzi. Martin wiedział już, kogo wypatruje. Stina zgodnie z planem miała przybyć ciężarówką wraz

z Walterem i Nel. Z wcześniejszych sugestii Widmoka-
ta wynikało, że udało im już dotrzeć na miejsce.

– Zaprowadź nas do Stiny – poprosił wciąż kręcącego
się w pobliżu rysia. – Tam ją na razie zostawimy. Aż nie
wymyślę co dalej.

– Weszła ci do głowy, hm? – mruknął ryś. – I już wca-
le nie jesteś tak bardzo pewien swego.

– Po prostu nas tam zaprowadź, dobrze?

Zwierzę z gracją skinęło kształtnym łebkiem i ruszyło
przed siebie, zgrabnie klucząc między szafasami. Martin
i Erika podążyli za nim.

Stina aż wstrzymała oddech, kiedy w wejściu do sza-
fasu pojawiła się drobna postać Eriki Ekhart. Wycofa-
ła się nieco pod ścianę, zdezorientowana i niepewna jak
zareagować. Dyrektorka omiotła ją spojrzeniem dużych,
ciemnych oczu.

– Siostrzyczko! – Martin zdumiał się, słysząc wzru-
szenie w jej dotychczas obojętnym, mechanicznym gło-
sie. – Siostrzyczko – powtórzyła, wchodząc do środka.
– Pamiętasz mnie, Stina? To ja.

Barmanka potrząsnęła burzą potarganych blond loków.

– Pamiętam.

Erika podeszła i objęła ją, oplatając dłonie wokół ra-
mion dziewczyny. Martin przyglądał się temu chyba
jeszcze bardziej zaskoczony niż Stina.

– Kazałaś mnie uwięzić – powiedziała cicho barman-
ka. Erika odsunęła się. Usiadła na kawałku miękkiej skó-
ry z dzika. – Mnie i pozostałych. Wampirzycę. Twoich
uczników.

– Nie ja podjęłam decyzję o ich uwięzieniu – od-

parła. Odwróciła się, spoglądając na wciąż stojącego w drzwiach Martina. – Przekaż swojej przyjaciółce... Frederice, że jej też nie chciałam skrzywdzić. Dieter sam wydał na siebie wyrok.

– Nie rozumiem – wyszeptała Stina. – Byłam przekonana, że wtedy umarłaś. Jak to możliwe, że...

– Kiedy ty, Cathy i Widmokot opuściliście teatr, mistrz Roderick przywrócił mnie do życia. Stałam się jego marionetką, tak jak zawsze tego chciał. Za moim pośrednictwem kierował Radą Kolegium i rozszerzał swoje wpływy.

– Co z Podróżnym? – spytał Martin, gdy Stina i Erika pogрузyły się w rozmowie, wyraźnie dając do zrozumienia, że nie życzą sobie niczyjej obecności. – Obudził się?

– Jeszcze nie – odparł Widmokot. Wspiął się na omszały kamień i przejechał po nim pazurami. – Ale jest stabilny. Leży na Homolce, Lotta przy nim czuwa. Ja też zaraz tam wracam, musiałem się tylko upewnić, że wszyscy bezpiecznie dotrą na miejsce.

– Dziękuję. – Martin skinął mu głową. – Dobrze, że ktoś odpowiedzialny tego dopilnował.

– Powoli zaczynasz uczyć się, jak należy się komunikować – odparł Widmokot. – Zrobiłem to po to, by, jeśli się obudzi, móc mu przekazać, że wszystko w porządku.

– Tak czy inaczej, dziękuję – powiedział Martin.

Kot zmrużył oczy.

– Czegoś ode mnie chcesz. Tylko jeszcze nie wiem czego.

– Nie, po prostu... Idź do niego. I proszę, daj nam

znać, kiedy będzie wiadomo coś więcej.

Ryś pokiwał łebkiem, po czym wyprężył się i skoczył na najbliższe drzewo.

– Kiedy zamierzasz im powiedzieć? – spytał, spoglądając na Martina z góry. – O tym, że Erika tu jest?

– Jeszcze nie wiem. Póki co, niech świętują. Jutro coś wymyślę. Może rozmontuję ją na kawałki i gdzieś ukryję, skoro nie można jej zabić bez zapraszania do Pragi Króla Demonów.

Zielone oczy demona zerkwały na niego z ciemności.

– Widzieli, że idziesz z kimś przez obozowisko. Domyślą się. Nie wyjdzie z tego nic dobrego.

– To w takim razie mi pomóż. Zabierz ją z powrotem do Pragi, ukryj gdzieś.

– Sam ją tu sprowadziłeś, sam sobie radź – prychnął w odpowiedzi kot, jeżąc się jak szczotka. – Jesteś przecież podobno adeptem manipulacji.

Przeskoczył na gałąź sąsiedniego drzewa, po czym zniknął wśród gęstego listowia.

– I co teraz, mistrzu?

Rozejrzał się, marszcząc brwi. Mógłby przysiąc, że słyszał cichy, chropowaty nieco szept Daimona.

– Nie ma cię tutaj.

Dobrze wiedział, że marionetka spoczywa w jego plecaku, chwilowo rozłożona na wygodne w transporcie elementy. Nie powinna do niego mówić.

– Jesteś moim mistrzem. I potrzebujesz pomocy.

– Nie potrzebuję – mruknął, wciskając ręce w kieszenie kurtki. – Nie twojej.

– Iskra ją tu znajdzie. I zabije. Dobrze o tym wiesz.

Nie powinienes być jej w ogóle tu przyprowadzać.

– Czemu nagle cię to interesuje? Przecież jeśli ją zabije, to chyba w sumie wygrasz, nie? Jako marionetka Króla Demonów.

– Jestem po tej samej stronie, co mój mistrz. A moim mistrzem jesteś ty, nikt inny. Jeśli chcesz, żeby Erika wyszła z tego cało, po prostu mnie posłuchaj. I spróbuj mi zaufać.

Martin zerknął na siedzących nieopodal namiotu mieszkańców Siedliska. Widzieli, jak wchodził do namiotu z Eriką. Musieli widzieć. Od niechcenia wyciągnął dłoń w ich kierunku, wyobrażając sobie, że porusza krzyżakiem marionetki.

– Przyszedłem sam – powiedział, spoglądając w ich stronę. – Porozmawiałem chwilę ze Stiną i wyszedłem.

Nie czekając na ich reakcję, ruszył w stronę ognisk.

Pierwszą znajomą osobą, na jaką się natknął, był Aisling, stojący przed wejściem do szałas, który przydzielono Waltowi i Nel. Rudowłosy irlandzki demon zemsty wyglądał na wyjątkowo rozdrażnionego.

– A, to tylko ty – mruknął na widok Martina. – Jeśli chciałeś pogadać z Waltem, to teraz śpi. Nel też.

– Wszystko z nimi w porządku? – zaniepokoił się Martin. Kiedy widział Walta grającego podczas balu, pianista wyglądał na wyczerpanego i zubożniałego, zupełnie tak, jak po śmierci Ely.

– Ta... – mruknął demon, wciąż nie rezygnując z ponurej, zaciętej miny. – Odsypiają.

– Nie wolisz posiedzieć z Iskrą? Pewnie cię teraz potrzebuje.

– Jeszcze nie wróciła. Robi odprawę wszystkim tym swoim demonom.

– A. Aha. Jasne. Wiesz, gdzie są Kobold i Freddie?

Demon niechętnie machnął ręką, wskazując kierunek.

– Zaprowadzić cię? – zaproponował, widząc że adept nadal wygląda na zagubionego.

– Jeśli możesz. Byłoby super. Dzięki.

Nie musieli szukać daleko. Okazało się, że Martin dwukrotnie minął właściwe ognisko i – nikogo nie rozpoznając – poszedł dalej, przez co Kobold drwił z jego marnych zdolności do rozpoznawania twarzy. Martin próbował wytłumaczyć, że w nocy w lesie wcale nie jest to takie łatwe. Greem skinął mu lekko na powitanie. Po jego prawej stronie siedziała Inga, po lewej zaś przysiadł wciąż nieco nadąsany Aisling. Inga oczywiście nie mogła mu odpuścić i spytała, czy aby na pewno spuszczenie młodych zakochanych z oczu to dobry pomysł, bo kto wie, jakie tam teraz się wyprawiają bezeceństwa. Gdyby spojrzenie demona mogło zabijać, Inga padłaby trupem na miejscu.

– Jak sytuacja? – spytał Martin, siadając między Freddie a Koboldem. Dziewczyna wcisnęła mu do ręki drewnianą miszkę pełną nieco rozgotowanej kaszy. Kobold postawił przed nim gliniane naczynie.

– Piwo – wyjaśnił od niechcenia. – No, bo... zasadniczo wygraliśmy. Erika nie żyje, nie ma już Rady, nie ma pracowników wyższego szczebla. Turystki i ulubiony chochlik Freddie o to zadbali.

Greem oderwał się na chwilę od grzebania patykiem w ognisku i uśmiechnął się lekko do Martina.

– Czas zapalić papierosy, rozlać resztkę piołunówki. To była piękna walka. I ciągle trwa.

– Nie wiedziałem, że zostało jeszcze trochę piołunówki – ożywił się Aisling. – Można?

Greem westchnął i wyjął z wewnętrznej kieszeni płaszcza niewielką piersiówkę.

– Cóż... za zwycięstwo – powiedział, upijając łyk.

– Za zemstę – powiedział Aisling, przejmując od niego butelkę.

– Za zabójcę Eriki Ekhart! – wzniosła toast następna w kolejce Inga.

Martin wytrzymał jej spojrzenie. Zdobył się nawet na lekki, zmęczony uśmiech. Uśmiech, jaki pewnie miałby ktoś zadowolony z dopiero co wypełnionego zadania.

– Turystki też tu są? – spytał.

– Zostały w Pradze – odparł Kobold. – Nie lubią się specjalnie z Sowami i stwierdziły, że nie czułyby się tu mile widziane. Poza tym, one chyba mają jakiś pomysł.

– Pomysł? – zainteresował się Martin.

– Z tego, co mówiły, Ariadne współpracowała przez jakiś czas z Zegarmistrzem. Uczyła się od niego. Możliwe, że będzie w stanie znaleźć sposób, by naprawić zegar.

Greem popatrzył na niego z ożywieniem.

– To bardzo by nam pomogło – stwierdził. – Z działającym Orlojem Praga jest silniejsza, jeśli zdołamy zdążyć przed powrotem Króla Demonów... Niech działają.

– Oby tylko im się nie odwidziało. Będziemy ich potrzebować. Ktoś jeszcze został w Pradze?

– Tylko Marek – odparła Inga. – Przywiózł tu Stinę, Nel i Walta i wszystko, co udało nam się zgarnąć z Kle-

mentinum; pomógł to wszystko przenieść i pojechał do miasta.

– Udało mu się przywieźć wszystko? – upewnił się Martin. – Niczego nie zapomnieliście?

– To znaczy w sumie to nie udało nam się zabrać twojego kota – przyznał nieśmiało Kobold. – Sorry, stary. Trochę za bardzo stawiał opór, nie dał się za cholerę wsadzić do torby, a my nie mieliśmy czasu.

– Poradzi sobie – odparł Martin, chociaż martwił się o los zwierzaka. Liczył na to, że zaopiekuje się nim Widmokot albo, że uda mu się wrócić do babci Magdy. Tam byłby bezpieczny.

– Ale za to mamy wasze marionetki bojowe – dodał nieco bardziej pogodnie Greem. – Całe szczęście, że Ana sobie o nich przypomniała. Mogą się przydać.

Ostatnie tygodnie warsztatów Mortimer poświęcił właśnie na ich budowanie. Miały wielkość przeciętnego człowieka i nie posiadały sznurków, można więc było używać ich do walki na odległość. Łalkarz sterował nimi z ukrycia, unikając bezpośredniego zagrożenia tak długo, jak się dało. Były znacznie bardziej toporne niż marionetki treningowe, to jednak nie stanowiło problemu. Nie musiały dobrze wyglądać, miały być skuteczne.

– Ana i Jo też są z nami? – upewnił się.

– Owszem, są. Znaczy Jo chyba nie była z początku szczególnie zachwycona, ale wykazała więcej entuzjazmu, uświadamiając sobie, że przynajmniej przeżyje. Myślę, że raczej można jej zaufać. Ana... sam wiesz, jest po naszej stronie już od dłuższego czasu, nie było z nią problemów. Maluchy też tu są. Znaczy te no... dzieciaki

z przygotowawczej. Przynajmniej niektórzy z nich. Próbowaliśmy ich przekonać, żeby korzystali z okazji i wiali, ale nie wszystkich dało się spławić.

– W sumie lepiej, żeby nas było więcej niż mniej... A swoją drogą – wzrok Martina powędrował w stronę sąsiedniego ogniska, przy którym nad jedną miską siedzieli Mistrz Taro, doktor Barker oraz Amy Dot – z tego, co słyszałem, nie planowaliście brać jeńców?

– Kobold miał opory przed podniesieniem ręki na Barkera – powiedziała Freddie. – Dlatego postanowiliśmy zabrać go ze sobą. Facet jest mądry, bardziej przyda nam się żywy niż martwy.

– Na tej samej zasadzie zdecydowaliśmy o Taro – wtrącił Greem, chowając pustą już butelkę do kieszeni. – Był opiekunem naszego roku, poza tym nauczył nas walczyć i tak naprawdę nigdy nie zrobił nic złego. Zawsze był po naszej stronie, bez względu na okoliczności.

– A Amy w pewnym momencie po prostu przeszła na naszą stronę. Załatwiła dwóch manipulatorów, którzy osaczyli Freddie. Zdziwiłbyś się, jaka ona jest zacięta w otwartej walce.

– Pewnie jeszcze będę miał okazję to zobaczyć – westchnął Martin. – Jak właściwie udało wam się przekonać do tego Iskře?

– To trochę zasługa Freddie – wyjaśnił Kobold. – Już kiedy do nas dołączyła, sugerowała, że warto byłoby jednak mieć po swojej stronie przynajmniej część grona pedagogicznego.

– To znaczy właściwie jak się dowiedziała, co knujemy, chciała lecieć na skargę – uzupełnił Greem. Wyciągnął

kościste dłonie do ognia, by nieco je ogrzać. Wiosenna noc w lesie była chłodna, wiatr przenikał na wskroś, a gwiazdy patrzyły na nich z góry, odległe i obojętne. – Jakoś ją od tego odwiedliśmy, ale upierała się, że potrzebujemy kogoś bardziej doświadczonego i marudziła o tym tak długo, że Iskra nawet nie była specjalnie wściekła, kiedy ich wyprowadzaliśmy. No wiecie... jak na nią.

– Na szczęście są wśród nas osoby, które wciąż posiadają odpowiednie zasoby, by jakoś ją ugłaskać. – Aisling uśmiechnął się katem ust. Jego broda lśniła rudawo w blasku ognia, od czasu do czasu strzelające w powietrze iskry żarzyły się w niej i natychmiast znikwały.

– Na nieszczęście te osoby są wyjątkowo skąpe i nie lubią dzielić się talentem z innymi – prychnęła Inga, mocniej otulając się szarym, wełnianym kocem. – Zaśpiewaj coś, Aisling. Dawno tego nie robiłeś...

– Zaśpiewaj – zawtórował jej Greem. W jego oczach pojawiły się iskierki dziecinnej radości.

– A później Martin opowie nam o ostatnich chwilach Eriki Ehkart. – W ciemnych oczach Ingi odbijały się jęzory ogniska. – To jest opowieść, której chętnie wysłucham tej nocy.

Martin również zapatrzył się w płomienie, pogrążony w niewesołej zadumie. Aisling zaczął nucić niskim, głębokim głosem. Wybrał piosenkę o ogniu, tę samą, którą śpiewał kiedyś podczas spotkania w domu Waltera i którą powtarzał teraz cały obóz.

W ciemności, przy ognisku i z dochodzącymi z pomiędzy drzew miarowymi uderzeniami bębnow brzmia-

ła jeszcze bardziej niesamowicie i niepokojąco. Martin przypominał sobie jesienne demony, wiersze babci Magdy i zainspirowane nimi ilustracje Klary. Podpalacz Drzew. Miasto w płomieniach. Zgłiszcza.

Greem miał rację. Mogą sobie wznosić toasty i wspominać ciężką walkę, ale ta walka tak naprawdę wciąż trwa. Odstawił miskę na ziemię i wstał, odprowadzany zdumionymi spojrzeniami Ingi i Greema. Skierował się ku szałasowi, w którym pozostawił Erikę Ekhart. Ciekaw był, czy ona i Stina skończyły już wspominać dawne czasy.

Wyglądało na to, że jasnowłosa barmanka również go szukała. Spotkali się w połowie drogi, obok największego szałasu należącego do szamana Ludzi-Sów.

– Co powiedziała?

– Że przeprasza – westchnęła Stina. – Za wszystko. Próbowałam uświadomić jej, jak to wyglądało z naszej perspektywy. No wiesz, egzaminy, ta sprawa z Iskrą, to, jak potraktowała cały wasz rok... Powtarzała, że nie dano jej wyboru, musiała być potworem.

– Bo się zaraz wzruszę. Z tego, co powiedziała mi wcześniej, proces rekrutacji i egzaminy końcowe to był jej pomysł. Akurat tego ten cały Roderick nie wymyślił – zauważył z przekąsem Martin. – W ogóle go to nie obchodziło, zależało mu tylko na wpływach w Kolegium i na polityce. Powiedział jej, że w sprawach uczelni może robić, co chce, czyż nie tak?

– No tak – zgodziła się ostrożnie Stina. – A ona robiła wszystko, co w jej mocy, by przygotować nas na powrót Króla Demonów. Wiedziała, że wróci, że nie od-

szedł na zawsze.

– I dlatego urządziła nam tutaj igrzyska? Rzeczywiście, świetny pomysł, pogratulować.

Stina tylko westchnęła z rezygnacją i pokręciła głową.

– Sądziła, że to jedyne wyjście. Ona jest... specyficzna.

– No, tyle zdążyłem zauważyć

Stina zmierzyła go surowym spojrzeniem.

– Daj mi dokończyć – poprosiła. Przysiadła na zwałonym pniu drzewa. – Miałam na myśli, że kiedy ona studiowała lalkarstwo, w ogóle nie było żadnej współpracy. Każdy dbał tylko i wyłącznie o siebie i kiedy wychodziła, nikt się za nią nie wstawił, i to nie tylko dlatego, że nie była lubiana. Po prostu w Kolegium każdy zajmował się tylko i wyłącznie sobą. Teraz mi się przypomina, że kilka razy mówiła coś takiego... i z tego powodu Król Demonów prawie wtedy wygrał. Ludzie nie potrafili się wspólnie sprzeciwić złu, wciąż się o coś kłócili i nie umieli współdziałać. Dlatego pomyślała, że jeśli do ciśnie wam śrubę i odegra rolę tej złej, to zaczniecie się buntować. To was zjednoczy, stworzy silną grupę ludzi, którzy ufają sobie i działają razem... mają wspólny cel i wspólnego wroga. I zasadniczo, z tego, co widzę, udało się. Zorganizowaliście przecież tę akcję, zdołaliście nas odbić i unieszkodliwić Radę.

– Nie jest to jej zasługą – odparł Martin. – Przecież ja bym jej rozbił łeb, gdybym się w porę nie dowiedział, że przez to Król Demonów może wpaść tutaj z wizytą!

– Dużo ryzykowała, to fakt – zgodziła się Stina. – Weź pod uwagę to, że jako marionetka w rękach Roedericka miała bardzo ograniczone możliwości działa-

nia. W swoim mniemaniu robiła to, co wydawało jej się słuszne. Wychowała się w Sierocińcu, od dziecka była pod wpływem Kolegium. Ma spaczony obraz świata i ludzi, ale...

– Nie usprawiedliwiał jej, Stina – przerwał Martin. – Zamordowała i skrzywdziła wielu ludzi.

Barmanka z ociąganiem pokiwała głową.

– Wiem, po prostu... Na swój sposób też była ofiarą, zarówno Króla Demonów jak i Kolegium.

Ściągnął skórzaną kurtkę i podał ją Stinie.

– Wyglądasz, jakbyś zmarzła.

– Dzięki. – Uśmiechnęła się i narzuciła sobie okrycie na ramiona.

– Jak się w ogóle czujesz?

– O wiele lepiej. Trochę spałam w ciężarówce i po przyjeździe tutaj. A, zapomnielibym – uśmiechnęła się lekko do niego – wpadłam chwilę temu na Sida i Sin. Wyobraź sobie, że właśnie teraz wrócili ze swojej cyrkowej podróży.

– A więc żyją. – Martin odetchnął z ulgą. – Canelle opowiadała mi o tym, że spotkała ich na swojej drodze. Nie wiedziała, co się z nimi stało i bała się, że zginęli.

Barmanka w zadumie pokiwała głową.

– Wspominali, że przez jakiś czas mieli ją na pokładzie. Nawet bardzo to sobie chwalili, twierdząc, że pasowała do ich cyrku. Ucieszą się, kiedy im powiem, że też zdołała wrócić. To ona znalazła tę wstążkę, prawda?

– Nawinęła błękitny pasek materiału na palec. – Nie sądziłam, że kiedykolwiek ją znowu zobaczę.

– Znalazła ją w Domu Lalek.

Twarz dziewczyny rozjaśniła się szczerym, nieco me-

lancholijnym uśmiechem.

– Dom Lalek – powtórzyła w zadumie. – Mieszkiałam tam kiedyś z Mortimerem, Cathy i Widmokotem. Później dołączyła do nas Erika. Ciekawi mnie, jak teraz wygląda to miejsce. Muszę zapytać Canelle, gdy ją spotkam.

Martin nie miał serca przekazywać jej tego, co usłyszał od Canelle. Jeśli to miejsce było dla Stiny aż tak ważne, może lepiej, żeby nigdy się nie dowiedziała.

– Jak ona się w ogóle czuje? – zainteresowała się Stina. – To, co opowiadali Sid i Sin, nie brzmiało zbyt dobrze, mam nadzieję, że doszła już do siebie.

Martin tylko wzruszył ramionami.

– Nie wiem – odparł. – Nie widziałem jej od jakiegoś czasu. Nie odzywa się do mnie.

– Lepiej znajdź sposób, żeby ją przeprosić – zasugerowała Stina. Popatrzył na nią niepewnie. – Doszły mnie plotki, że masz za co.

Oboje zamilkli, widząc zmierzającą w ich stronę postać. Z początku Martinowi wydawało się, że nadchodząca Iskra się uśmiecha. Okazało się, że to tylko blask ognisk odbijał się w jej oczach i spowijał twarz pełną ekscytacji łuną. Dziewczyna bez słowa podeszła do Martina i Stiny i cisnęła im coś pod nogi. Zaśmiała się, a później już nie mogła przestać się śmiać. Wciąż krztusząc się śmiechem, osunęła się na ziemię. Stina pierwsza zorientowała się, z czym ma do czynienia. Przycisnęła dłoń do ust, żeby stłumić krzyk. Chłopak spojrzał w dół. Zaniemówił na widok leżącej na warstwie leśnego runa głowy Eriki Ekhart.

– A do tej pory wydawało mi się, że Ludzie–Sowy to banda świrów mieszkających w lesie i udających Indian – przyznał Kobold, wciąż rozglądając się po Siedlisku. Przyglądał się kręcącym się między szałasami mieszkańcom. W międzyczasie skład otaczającej ognisko grupy nieco się zmienił. Aisling chyba rzeczywiście poszedł sprawdzić, czy Walter i Nel nie robią aby nic złego, zaś Inga i Greem zostali zgarnięci przez Sida i Sin. Cyrkowcy bardzo stanowczo domagali się streszczenia wszystkiego, co ich ominęło. Dosiadły się natomiast Jo i Ana oraz doktor Barker.

– Powiedzcie mi – zwrócił się do swoich byłych studentów – ile wy tak naprawdę wiecie o mieszkańcach Siedliska?

Freddie wzruszyła ramionami. Jo i Ana usilnie starały się sobie coś przypomnieć i znaleźć prawidłową odpowiedź.

– No, wydaje im się, że są sowami, tak? – mruknął Kobold, upijając łyk z glinianego kubeczka. – Dlatego noszą się na szaro i brązowo, i mają te płaszcze udające skrzydła. I znają się na manipulacji, prawda? Nauczył ich tego sam Marionetkarz.

Jo chyba zupełnie bezwiednie i nieświadomie uniosła dłoń do góry, dając znać, że chce zabrać głos. Kobold stłumił parsknięcie.

– Słyszałam, że wierzą, że melodia, którą Marionetkarz zagrał na flecie, by wyprowadzić ich do lasu, obudziła w nich dusze – powiedziała adeptka. – Teraz nie potrafią już zasnąć, dlatego, gdy ich słabe ciała się męczą i zapadają w sen, dusze wcielają się w sowy. Latają

przez całą noc, obserwując świat ich oczami.

– Kolegium próbowało to badać – przyznał Barker.
– Wszystko wskazuje na to, że to prawda. Robiliśmy na nich eksperymenty i tak, nie jesteśmy z tego dumni – dodał, widząc podejrzliwe spojrzenie Kobolda.

– To w sumie dość zabawne – stwierdził chłopak, pociągając łyk z glinianego kubka. – Według legendy Marionetkarz zagrał na flecie i zabrał uzdolnioną młodzież ze sobą do lasu, by nauczać tego, czego nie uczy zepsute Kolegium. I oto siedzimy w ich lesie, przy ich ogniskach, zupełnie jakby nas też tu przyciągnął.

Nagle wszyscy ucichli, nasłuchując dochodzących z ciemności krzyków. Martin i Iskra kłócili się o coś z wyjątkową energią i pasją.

– Myślałeś, że uda ci się mnie oszukać! – wściekała się Iskra. Zmierzali chyba w stronę głównego ogniska, bo odgłosy awantury były coraz bliższe. – Myślałeś, że przyprowadzisz ją tutaj pod osłoną nocy i się nie zorientuję?! Miałeś ją zabić, a tymczasem...

– A tymczasem miałem dobry powód, żeby tego nie robić?

– I dlatego ją tutaj przyprowadziłeś pod osłoną nocy i próbowałeś zrobić z nas debili?! Próbowałeś oszukać moich Ludzi-Sowy!

– O ile mi wiadomo, wcale nie są twoi.

– Zamknij się! Ja mówię. Powiedzieli mi, że próbowałeś tych swoich sztuczek. Naprawdę myślałeś, że zadziałają? Na dzieci uczone przez samego Marionetkarza?!

– Króla Demonów, Iskra. Nie Marionetkarza. To jedna i ta sama osoba. I właśnie podałaś jej Pragę na tacy.

– No, to jakoś wcale nie jest argument na twoją korzyść. Miałeś zrobić jedną rzecz, Martin! Jedną! Obaliliśmy Kolegium, żeby ci to umożliwić, żebyś mógł pomścić tę swoją głupią koleżankę! Podpaliłam dla ciebie miasto, żebyś miał swoją zemstę, a ty sprowadziłeś mi wroga do domu!

Jo i Ana przysłuchiwały się temu, przestraszone i zdezorientowane. Niespodziewanie do obozu wpadła ognista kula, która okazała się być sową. Płonącą sową. Miotła się i wydawała z siebie rozpaczliwe, pełne paniki odgłosy. Wszyscy popatrzyli na siebie zdezorientowani, zastanawiając się, co też to może znaczyć. Wyjaśnienie nadeszło wraz z pojawieniem się Widmokota.

– Praga – miauknął demon, trwożnie jeżąc sierść i kładąc uszy po sobie. – Praga płonie! Król Demonów powrócił!